

ROMAN KURKIEWICZ

SPACER PO SHOAH

TEGO DNIA SŁOŃCE BYŁO PRZEORGROMNE, NADNATURALNEJ WIELKOŚCI. TOCZYŁO SIĘ PO TORACH KOLEJOWYCH NA NASYPIE PRZY SKRZYŻOWANIU UL. ŚW. WINCENTEGO I JANA ODROWAŻA. BYŁA DRUGA POŁOWA LAT 80. ZA PLECAMI MIAŁEM CZARNY DREWNIANY DOM, OTOCZONY POHARATANYMI, ZDEZELOWANYMI MERCEDESAMI I AUDI. Z PODWÓRKA DOBIEGAŁY KRZYKI BRÓDNOWSKICH CYGANIĄTEK. PRZED MNAŃ ROZPOŚCIERAŁ SIĘ LEŚNY TEREN. NIEOGRODZONY. OTWARTY, ALE INNY.

W tym samym czasie w Kinie Muranów wyświetlano w pełnej wersji *Shoah* Claude'a Lanzmanna. Film, podzielony na cztery części, trwał ponad osiem godzin. Jednego dnia oglądaliśmy dwie, następnego – pozostałe. Chyba nigdy wcześniej ani później nie słyszałem takiej ciszy w trakcie emisji i takiego milczenia, które zapadło po zapaleniu świateł. Dudnienie filmowych, towarowych pociągów, które w długich sekwencjach przemierzały współczesną Polskę, nie cichło. To były takie pociągi jak tamte, które transportowały tysiące, dziesiątki tysięcy, setki tysięcy polskich i europejskich Żydów do obozów zagłady. Ujęcia te, chociaż bardzo krótkie, były trudne do wytrzymania. Były bezsłownym lamentem. Były konduktem żałobnym, który nigdy przez Polskę nie przejechał. Były podróżą ostateczną, która wówczas pozostawała w Polsce nieopowiedziana.

To właśnie wtedy ukazał się esej Jana Błońskiego *Biedni Polacy patrzą na getto*. Wszedłem w bródnowski las – wielki żydowski cmentarz. W świetle zachodzącego słońca przypominał tętniący życiem park. Wokół mnie grupy pijących wino, kłócących się w upojeniu, uprawiających seks i zalegających na trawie ludzi. Szedłem, trochę jak widmo, z abstrakcyjnie lekką duszą. Jakbym płynął niezauważony przez nikogo. Wszędzie śmieci. Gdzieniedzie doły z białym piaskiem. Podeszedłem bliżej. Kości. Myślałem, że może zwierzęce. Jednak nie, ludzkie. Żydowskie. Warszawskie. Polskie. Na końcu lasu gigantyczny monument zwalonych, jedna na drugą, czarnych macew. Zrzuconych

tam przez hitlerowców w latach czterdziestych, pozostawionych w spokoju na kolejne czterdzieści lat. Może tylko nie przez tych, którzy poddali je recyklingowi. Wszedłem jak ze snu, patrząc niewidzącym wzrokiem. Autobusem do centrum jedzie się stamtąd piętnaście minut. Środek stolicy.

Ale nadchodził nowy czas. Producent koszernej wódki, spirytusowego przeboju końca lat osiemdziesiątych, ogroził cmentarz. Potem go uporządkowano. Stała się brama. Już nigdy później nie byłem w stanie jej przekroczyć.

W tych scenach, w tym filmie, w tym tekście zawierało się Ostateczne Zapomnienie. I w tym obrazie wędrówki po bródnowskim kirkucie zawarta była opowieść o *Sąsiadach*, *Strachu*, *Złoty Żniwach*, *Miejscu Urodzenia*. Tu Zagłada była jak na wyciągniętej, nagiej dłoni. Na nasypie kolejny kilkudziesięciowagonowy pociąg towarowy wjeżdżał w krwawe, lodowate słońce. I zniknął cały w jego monstrualnym palenisku.

Roman Kurkiewicz – dziennikarz, felietonista tygodnika „Przekrój”, autor programu o książkach i czytaniu „Pod tytułem” w radiu TOK FM (do 2010 r.), książki *Kłapsy polskie*, recenzent książkowy, wykładowca Collegium Civitas i Uniwersytetu Warszawskiego.

BARBARA KLICKA

O PRZYBODACH, TAMPONACH I JEDNYM GOLENIU GOJKI OKIEM

*Moje myśli przypominają teraz starohebrajski,
mają tylko dwa czasy, przeszły i przyszły:
byłem i będę z tobą.*
Charles Reznikoff, tłum. Piotr Sommer

Od jakiegoś czasu zdarza mi się przysłuchiwać ludziom mówiącym, a czasem wręcz rozmawiającym w jidysz. Ponieważ nie znam w tym języku ani jednego słowa, poza słowem *cwiszn* rzecz jasna, za każdym razem zadziwia mnie jego melodia. Bo jeśli miałabym się uchwycić tej muzycznej metafory, musiałabym napisać, że jidysz brzmi raczej marszowo. Krótkie, wybuchowe słowa, nagromadzenia twardych spółgłosek, ich

gardłowość i chropowatość sprawiają, że myślę o wszystkim, tylko nie o błogim, sztetlowym obrazku. Jeśli muzyka języka miałaby być sama w sobie jakimś czarownym wehikułem, to przenosiłby mnie on z pewnością w okolice, w których udziela się tak zwanych męskich rad, w których matki stanowczo ostrzegają swoich synów przed szczypanką, mogącej wejść im do ucha na biwaku, w których rozmawia się o konkretach bardzo konkretnymi słowami. Proszę się nie burmuszyć – pisząc o konkretach, nie mam na myśli jedynie straganów z gęsiami pipkami. Doskonale wyobrażam sobie również sytuacje takie, jak ta opisana przez poetę Charlesa Reznikoffa – obiektywistę, a więc twórcę programowo przywiązane do konkretnego.

Kiedy poszedłem odebrać pranie

Kiedy poszedłem odebrać pranie, stwierdziłem brak koszuli.

Właściciel pralni, Żyd, zaczął rozważać sytuację:

„Są cztery możliwości zgubienia koszuli

– powiedział po namyśle –

po pierwsze, mogła wcale nie wrócić z pralni parowej;

po drugie, mogła zapodziać się gdzieś tutaj, nie zapakowana;

po trzecie, mogła wrócić i trafić do jakiejś innej paczki;

i po czwarte, mogła naprawdę się zgubić.

Niech pan wpadnie pod koniec tygodnia, a będę wiedział, co się stało.”

A jego żona, poznając we mnie współziomka,

uśmiechnęła się i powiedziała po żydowsku:

„Nie pójdziemy z tym chyba do rabina, co?”

tłum. Piotr Sommer

Tak, dziwi mnie ten jidysz bardzo. Dziwią mnie jego zastosowania i dziwią mnie jego przygody. Ot, na przykład w czasie zeszlórocznego letniego kursu jidysz w Warszawie byłam świadkiem dyskusji grupy młodych ludzi, którzy mówili o potrzebie wprowadzenia do słownika jidysz słów „tampon” i „pendrive”. No i co? Niby nic dziwnego. Skoro istnieją tampon i pendrive, słowa, które na nie wskazują, z pewnością mogą się komuś przydać. Tylko że ja dostałam słowo „pendrive” razem z pierwszym urządzeniem tego typu. Oczywiście, byłam i jestem nadal świadkiem językowej walki o to, by nadać przenośnej pamięci jakieś bardziej polskie imię, ale mam wrażenie, że określenia „gwizdek” czy „pizdrik” nie mają zbyt wielu szans w tym starciu. Pewnie, że jidysz, jak każdy język, ma także swojego boga w postaci gramatyki, ale to naprawdę ciekawe móc temu bóstwu z tak bliska od czasu do czasu zerkać na ręce. Wtedy, w kawiarni na Saskiej Kępie, przyszli mi do głowy twórcy i propagatorzy esperanto. Jidysz ma swoją historię i literaturę, nosi w sobie także nieusuwalny chyba ślad Zagłady, ale mimo to są płaszczyzny, na których można by go – zwłaszcza w obecnym stadium istnienia – do esperanto porównać. Jest przecież niezwiązanym z żadnym obszarem geograficznym narzędziem komunikacji, w dodatku stworzonym bardziej być może świadomie niż inne języki. A zatem, można by, przez krótką i ryzykowną chwilę, pomyśleć o jidysz jako o spełnieniu na małą skalę wielkiego marzenia ludzkości, które z mniej lub bardziej tajemniczych powodów, od czasów pomieszania języków pod wiadomą wieżą, nie chce się ziścić. Szarżuję? Jasne, że szarżuję, ale proszę zapytać młodocianych, a nawet nie tylko, uczestników kursów jidysz na całym świecie, co sądzą o takim pomysle...

Skoro wylądowaliśmy już w biblijnych rejonach, to muszę Państwu opowiedzieć o innej fascynującej mnie, ironicznej przygodzie, która spotkała jidysz. To, że język ten z założenia był świecki, wie każdy, kto choć raz wpisał słowo „jidysz” w wyszukiwarkę internetową. Świecki w odróżnieniu od świętego języka Tory, a więc hebrajskiego. Słowa Tory miały wielką moc, należało je więc oszczędzać i trochę się ich obawiać. Dość wspomnieć losy kolejnych ożywców golemów – niewielu z nich dożywało spokojnej starości. Moją ulubioną historią na ten temat jest opowieść o Eliaszu Baal Szemie z Chelma.

Szacowny ten cadyk, chcąc zniszczyć swojego golema, ni stąd, ni zowąd nakazał mu wyczyszczenie butów. Wiadomo – golem duży był i wysoki, cadyk pewnie wręcz przeciwnie. Tak czy inaczej, żeby móc zmasać z czoła błotnego luda ożywcza literę *alef*, rabin musiał nakłonić go do przykłonienia przed nim, jednocześnie nie budząc podejrzeń, że coś by tam przy czole chciał mu pomajstrować. Udało się – golem nachylił się, cadyk zmasał *alef* z jego czoła, po czym natychmiast zginął przygnieciony ogromną ilością glinianych skorup, na jakie rozpadł się jego kabalistyczny pucybut.

Wracając do hebrajskiego i jidysz – pierwszy miał być do modlitwy, drugi do przekazywania informacji, o tym gdzie, do licha, zapodziały się skarpety i czy szczypawki naprawdę mogą dostać się do mózgu przez ucho i narobić tam szkód. Oczywiście, dość szybko okazało się, że język konkretny i codziennego życia doskonale nadaje się do tworzenia literatury, ale to zupełnie inna historia. Tak czy inaczej, ten językowy porządek, którym zachwiała nowoczesność, trwał w takiej czy innej formie aż do powstania państwa Izrael, które miało zasadniczo odmienny pomysł na swoje językowe istnienie. Językiem urzędowym Izraela został hebrajski, a jidysz traktowany był przez władze nowego państwa, oględnie mówiąc, niezbyt przychylnie. Skończyło się to tym, że w dzisiejszym Izraelu jidysz kojarzy się głównie z dzielnicami ortodoksów. Izraelscy chasydzi używają go trochę jako znaku odrębności wobec państwa, trochę jako łącznika z nieżyjącymi pokoleniami światłobliwych mężów. Tu czas na obiecaną ironię, która każdorazowo sprawia, że zacieram rączki z radochy – jidysz, który miał być językiem ulicy, handlu, sprzeczek i wyznań miłosnych stał się ostatecznie językiem kojarzącym się rzeszom turystów, odwiedzających dajmy na to taką Jerozolimę, z religią i to w jej najbardziej ortodoksyjnej postaci. Niezła przygoda? No, mnie się bardzo podoba.

W cudnym filmie Wemera Herzoga *Spotkania na krańcach świata* narrator, głosem – rzecz jasna – samego reżysera, konstatuje: „Dotarło do mnie, że w czasie, jaki spędziliśmy [...] w szklarni, wymarły prawdopodobnie trzy, cztery języki. W naszych staraniach, w trosce o zagrożone gatunki zdajemy się nie zauważać czegoś równie ważnego. Dla mnie to znak głęboko zaburzonej cywilizacji, gdzie miłośnicy drzew i wielorybów w swoich dziwactwach są akceptowani, podczas gdy nikt nie przejmuje się ostatnimi z posługujących się danym językiem”. Jidysz wciąż figuruje w *Atlasie Zagrożonych Języków Świata UNESCO*. A przecież ma tyle wesołych przygód, że o tragicznych nie wspomnę. I jak tak się rozglądam po ludziach, to sobie myślę, że ma też swój Greenpeace, który go ciągnie na głębie. Szarżuję? Jasne, że tak.

A tak zupełnie z innej beczki: pewnie Państwo zauważyli, że dzisiejszy odcinek sponsoruje Charles Reznikoff. Zawsze w przekładach Piotra Sommera. A to dlatego, proszę Państwa, że mnie potwornie wprost ten Reznikoff w tych przekładach wzrusza.

Barbara Klicka – wielbicielka literatury zwanej dla pewności piękną. Prezeska Fundacji 100 szt. Publikowała m.in. w „Studium”, „Kursywie”, „LiteRacjach”, „Arkadii”. Zdarzało jej się bywać recenzentką, scenarzystką i animatorką szeroko rozumianego życia kulturalnego. Zamieszkuje miasto stołeczne.